

Od autora: Witam.

Jest to pierwsza z trzech części opowiadania "Świetlik".

Ciekaw jestem, co o nim Myślicie i czy przypadł w jakimkolwiek stopniu do gustu.

Wszelkie uwagi i komentarze mile widziane.

Inaczej nie da się wyciągnąć wniosków z popełnionych błędów ani niczego nauczyć.

Z góry dziękuję.

Obudził mnie dźwięk wyważanych drzwi wejściowych do mojego mieszkania. Jeszcze na wpół po-
grążony w letargu sennym, zadałem sam sobie w myślach pytanie: „Co, do cholery?”.

Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. Dwadzieścia sekund później, kiedy leżałem na dywanie
twarzą zwrócony do podłogi, a zarazem z wykręconymi obydwoma rękami oraz butem na twarzy,
usłyszałem:

– Nie ruszaj się! Ani drgnij, bo rozwalę ci łeb! – huczało mi nad głową na zmianę kilka głosów.

Nawet nie wiem, kiedy moje ręce skute zostały kajdankami niemiłosiernie mocno zaciskającymi się na
nadgarstkach.

Ja pierdolę, kto to jest? Jacyś bandyci albo terroryści wpadli do mnie do domu, porwą mnie, a na koniec,
jak nie otrzymają tego, co chcą, pewnie na antenie którejś ze swych stacji telewizyjnych odetną mi głowę
podczas relacji na żywo.

Zajebicie, ale przecież ja nie jestem w Afganistanie, tylko w swym rodzinnym mieście, w którym miesz-
kam od trzydziestu lat. Więc kto to, do kurwy nędzy, jest!?

W międzyczasie zainkasowałem kilka kopniaków w żebra, brzuch, i twarz. W ustach czułem metaliczny
smak krwi. Na wpół zdenerwowany i przestraszony krzyczę:

– O co chodzi!? Kim jesteście!?

– Zamknij mordę! Wszystkiego się dowiesz – zabrzmiała odpowiedź, a na koniec precyzyjny kopniak w
splot słoneczny odebrał mi na kilka sekund oddech. Wściekły zacisnąłem zęby. Co za niewyżyty, zakom-
pleksiony skurwiel?

Odzyskawszy oddech, spojrzałem na stojący na regale elektroniczny zegarek, wskazywał godzinę szóstą
osiem. Za oknem panował jeszcze mrok. Tymczasem faceci ubrani w czarne mundury i kominiarki w ca-
łości zakrywające im twarze biegali jak opętani po całym moim mieszkaniu, ku mojemu przerażeniu za-
mieniając je w pobojowisko.

Wszystkie książki, tak samo jak i cała zawartość regałów, kredensu i szafki, leżała teraz na środku poko-
ju.

– Zabezpiecz komputer! Przeszukaj notatki – krzyczał jeden z nich, chyba dowódca tego całego zamie-
szania.

– Przepraszam, ale chyba mam prawo wiedzieć, kim jesteście i na jakiej podstawie włamaliście się do
mojego domu?! – wykrzyczałem.

– Dziub – usłyszałem i znów kopniak odebrał mi oddech na kilka długich sekund.

Mieszkanie przez ten czas ze schludnego i czystego zamieniło się w istne pole bitwy. Nigdy wcześniej nie
wyobraziłbym sobie nawet możliwości wyjścia z mieszkania bez dotknięcia stopą podłogi. Oczywiście,

można być wyniesionym, ale nie o to tu chodzi. Otóż miałem wrażenie, że lecę. Poważnie, unosiłem się w powietrzu, nie dotykając ziemi, jedynie raz na jakiś czas uderzając twarzą w któryś z mijanych mebli bądź framugę drzwi. Stawy barkowe, nie wiem jakim cudem, ale wytrzymały ten lot, nadgarstki natomiast bolały coraz bardziej.

Na klatce schodowej panował mrok, kątem oka zdążyłem dostrzec lekko uchylające się drzwi z naprzeciwka. Mieszkała tam siedemdziesięcioletnia pani Wanda, plotkara numer jeden w naszej klatce. Teraz dostarczyłem jej tematu na kilka tygodni snucia niesamowitych historii, w których jedyną prawdą będzie to, że dosłownie wyleciałem z domu w otoczeniu facetów w czerni. Reszta opowiadania będzie zbiorem jej fantazji, domysłów i hipotez wyspanych z palca.

Trzy piętra pokonaliśmy w kilka sekund. Normalnie biegnąc chyba nie zrobiłbym tego szybciej. Barki bolały jak skurwysyn, z coraz większym trudem łapałem też powietrze.

Nawet nie zauważyłem, kiedy przeszliśmy przez podwórko. W pewnej chwili usłyszałem odgłos przesuwanych bocznych drzwi furgonetki. Uniosłem głowę tylko po to, by uderzyć nosem w próg auta. Zawirowało mi w głowie, a przed oczyma ujrzałem kilkadziesiąt świecących punkcików. Po chwili leżałem już we wnętrzu furgonetki, rzucony jak szmaciana lalka na jej tył. Obolały nie miałem nawet siły wydusić z siebie słowa.

Kilka sekund później do samochodu wsiadło kilku facetów w czerni. Ostatecznie auto ruszyło z miejsca, kierując się w zupełnie niewiadome mi miejsce. Niemo słuchałem rozmów tych dziwnych jegomości.

– Ale gość ma przejebane.

– Tak, z pudła szybko nie wyjdzie.

– W życiu bym się z nim nie zamienił. Prokurator zatańczy z nim jak z dziwką.

To tylko niektóre teksty, jakie słyszałem. Za to każdy z nich okraszany był gromkimi śmiechami. W końcu jednak dowiedziałem się, z kim mam do czynienia, wszystko było mi jednak obojętne, byle tylko izolowali mnie od tych niewyżytych palantów.

Furgonetka pokonała niewielkie wzniesienie i w końcu się zatrzymała. Drzwi znów się otworzyły, a ja lotem błyskawicy przemknąłem przez dziedziniec, po czym wylądowałem na posadzce komisariatu.

– Do sprawy Gwidona – usłyszałem głos jednego z prowadzących mnie osobników.

Kilka sekund później sprowadzono mnie do piwnicy, gdzie po przeszukaniu zostałem umieszczony w pojedynczej celi.

– Dołek – pomyślałem. – Fajny początek dnia.

Przeszukanie nie trwało długo, zważywszy na to, że byłem w samej piżamie i skarpetkach. Miałem tylko nadzieję, że wyjaśnienie tej sprawy nie potrwa długo.

Minutę po tym, jak zatrzasnęły się za mną drzwi, położyłem się na czymś, co miało imitować łóżko, a w rzeczywistości było pozbijaną z drewnianych desek skrzynką. Na całym ciele odczuwałem niemiłe uczucie pieczenia, wyjątkiem były tylko barki i nadgarstki. W tych częściach ciała ból był tak mocny, że nie mogłem nawet się w nie dotknąć. „Pierdolone gestapo” – pomyślałem. „Co za goście? Obtlukli mnie niemiłosiernie, przywlekli tu w piżamie, a ja nawet nie wiem, o co chodzi. Kurwa, i to ma być państwo prawa”. Wtedy przypomniałem sobie słowa, jakie usłyszałem przy wejściu na komisariat: „do sprawy Gwidona”.

Gwidon był moim kolegą niemalże od zawsze. Razem się wychowywaliśmy, razem dorastaliśmy, chodząc do tych samych klas w podstawówce i technikum. Potem jednak nasze drogi nieco się rozeszły.

Ja poszedłem na studia, Gwidon natomiast wyjechał za granicę. Czym się tam jednak zajmował? Nie mam pojęcia. Fakt, że dwa lata później spotkaliśmy się w Wiedniu. Byłem tam akurat na tygodniowych wakacjach. Z tego, co się dowiedziałem, Gwidon akurat teraz tam mieszkał. Na spotkanie mój kolega przyjechał nowiutkim BMW 535i, a na koniec zaprosił mnie do swojego mieszkania, którym był osiemdziesięciu metrowy apartament.

Zrobiło to na mnie wrażenie. Nie pytałem jednak, w jaki sposób na to zarobił. Przecież gdyby uznał to za stosowne, sam by mi o tym powiedział. Dałem mu swój numer telefonu i od tamtej pory raz na jakiś czas spotykaliśmy się.

Poza Gwidonem spotykałem się rzecz jasna z całym gronem moich obecnych przyjaciół. Rozmyślania przerwał mi szcęk otwieranego zamka. Metalowe toporne drzwi otworzyły się. Stało w nich dwóch policjantów.

– No, finansista, zapraszamy na przesłuchanko.

Wyszedłem z tego obskurnego, odrapanego pomieszczenia. Moje nadgarstki znów przyozdobione zostały pięknie błyszczącymi kajdankami, a następnie, prowadzony przez policjantów, doszedłem do pokoju na drugim piętrze komisariatu. Natychmiast zostałem wprowadzony do jego środka. Szyderczy uśmiech siedzącego za biurkiem policjanta widoczny był od momentu przekroczenia przeze mnie progu.

– A więc do rzeczy. Jak się pan nazywa?

– Łukasz Kowal – odpowiedziałem.

– A więc, panie Łukaszu, czy zna pan pana Gwidona Malickiego?

– Znam.

– A kim on dla pana jest?

– Kolegą, znamy się od dziecka.

– Aha, jest tylko kolegą czy może także współnikiem?

– Tylko kolegą – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– A z zebranych przez nas materiałów operacyjnych wynika, że jest nie tylko kolegą!

– Panie, o co wam chodzi. Wywlekliście mnie z domu w nocy, w piżamie, nie mówiąc w ogóle, kim jesteście, a teraz zadaje mi pan jakieś chore pytania! – wykrzyczałem, tracąc cierpliwość.

– Proszę się nie unosić, jest pan podejrzany o próbę fałszowania pieniędzy i handel bronią. Dlatego przede wszystkim lepiej będzie dla pana, jeżeli zacznie pan w pełni z nami współpracować. Rozumiemy się?

Świat zawirował mi dookoła, przez chwilę myślałem, że śnię. Gdyby nie coraz bardziej dający o sobie znać głód, nie uwierzyłbym, że to dzieje się naprawdę.

– Że co!? Jakie pieniądze? Jaka broń? To jest jakieś nieporozumienie!

– To wcale nie jest nieporozumienie, mało tego, zapewniam pana, że trochę pan sobie posiedzisz.

Zamurowało mnie.

– Ale...Ale, za co?

– Już pan wiesz, za co. No to jak, możemy kontynuować?

Skinąłem z niedowierzaniem głową.

Kolejne pytania dotyczyły mojego przyjaciela. Czy wiem, gdzie mieszka? Czym się zajmuje? Co robił przez ostatnie lata?

Na każde z nich odpowiadałem zgodnie z prawdą: „Nie wiem, nie mam pojęcia, aż tak blisko się nie przyjaźnimy”. Na koniec usłyszałem:

– No, nieźle grasz. Zobaczmy, czy będziesz taki chojrak po trzymiesięcznym pobycie w pudle.

Znów ciarki przebiegły mi po plecach. O czym on mówi? Ja w więzieniu? Za co? Przecież to miejsce dla zwyrodnialców, kryminalistów, a ja nic nie zrobiłem.

Za chwilę przyszło dwóch tych samych policjantów, którzy mnie tu przyprowadzili, po czym zostałem odprowadzony z powrotem do piwnicy komisariatu.

Zanim zamknięto mnie w celi, dostałem plastikowe sztućce wraz z talerzem pełnym czegoś, co miało być zupą. Głodny, nie zwracając uwagi na to, co jem, pochłonąłem całą zawartość talerza. Na dnie znalazłem kawałek kielbasy. O dziwo, stwierdziłem, że nie jest najgorsza. Tego dnia nic już się nie wydarzyło.

Wieczorem dostałem dwie kromki chleba ze smalcem oraz kubek gorzkiej herbaty, natomiast tuż po dwudziestej drugiej drzwi celi otworzyły się, a ja zostałem zaproszony do niewielkiego pomieszczenia, w którym leżało mnóstwo twardych, niewygodnych materacy wraz z równie niewygodnymi poduszkami. Moim zadaniem było wybrać sobie komplet(materac wraz z poduszką), po czym znów zostałem zamknięty w celi.

W momencie, kiedy zamknęły się za mną drzwi, zgasło też światło. Cała obskurna cela pogłężyła się w mrok. Tylko w niektóre miejsca pobliskie latarnie rzucały smugi światła. Akurat jedna z tych smug, padła na napis „Albert G to frajer i konfident”. Tuż obok widniał kolejny: „Pozdrowienia dla wszystkich z Czarno Rynku”. Czarno Rynek był potocznie nazywanym miejscem gdzie spotykało się szemrane towarzystwo.

Trudno powiedzieć, ile czasu rozglądałem się po ścianach tego paskudnego miejsca, lecz zanim zaśnąłem, zrzuciłem ten cholernie niewygodny i śmierdzący potem materac na ziemię. Poduszkę też trzymałem z dala od swej twarzy. Diabli wiedzą, kto i co na niej kładł. Oceniając po wyglądzie i zapachu, chyba nigdy nie była prana ani chociażby dezynfekowana, a ostatnie, czego mi potrzeba, to złapanie jakiegoś syfu. Noc spędziłem, leżąc na drewnianej skrzynce. Trudno mówić o śnie, właściwie bardziej przypominało to letarg. Do tego co jakiś czas słyszałem podnoszony wizjer w drzwiach celi. Pewnie sprawdzali, czy się nie powiesiłem bądź też nie zrobiłem jakiegoś innego głupstwa.

Punkt szósta światło zapaliło się, a ja musiałem wynieść wzięte na noc materac i poduszkę. Wracając, dostałem dwie kanapki z marmoladą i kubek gorzkiej kawy.

Do godziny dwunastej nic się nie działo. Słyszałem tylko dźwięk otwieranego zamka w poszczególnych celach mieszczących się w pobliżu mojego apartamentu. Trzeba przyznać, że ruch tu mają całkiem spory. W samo południe drzwi otworzyły się. Stało w nich dwóch policjantów, nie byli to jednak ci sami funkcjonariusze, co wczoraj.

– Zbieraj się, jedziemy do prokuratury.

– O kurwa – pomyślałem. – Aż do tej chwili myślałem, a przynajmniej miałem nadzieję, że wszystko się wyjaśni na komisariacie, a tymczasem jedziemy do prokuratora. Po co? Chociaż, tam zapewne spotkam kogoś, kto w końcu zauważy, że jest to jedno wielkie nieporozumienie. Tak więc nieco podbudowany wyszedłem z tej nory w nadziei, że nie ma opcji, bym tu wrócił.

Na czas przejazdu wręczono mi stare, skórzane, niewygodne do granic możliwości buty.

Skąd oni je wytrzasnęli, w życiu nie widziałem czegoś takiego, a posiadane przeze mnie egzemplarze pamiętają pewnie jeszcze czasy zamierchłej komuny.

Tak czy siak, nie bez obawy, nie mając jednak żadnego wyboru, przywdziałem obuwie pasujące do piżamy jak baletki do skafandra pletwonurka, po czym zostałem wyprowadzony na dziedziniec, gdzie już czekał na nas ford focus mający zawieźć nas do prokuratury.

Dwadzieścia minut później zostałem wprowadzony do gmachu wyglądem przypominającego budowlę z okresu klasycyzmu.

Po pokonaniu kilku rzędów schodów i dwóch długości korytarza, dotarliśmy w końcu do pokoju, na drzwiach którego widniała tabliczka: „Prokurator Okręgowy Marian Wyszyf.

Zanim usiadłem, dzięki Bogu, rozkuto mi ręce. Te cholerne kajdanki zaciskały się tak mocno, że po upływie dwudziestu minut najchętniej człowiek zacząłby wyć z bólu, ku uciesze eskortujących panów. Wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu godzin uświadomiły mi, że wciąż dużo bliżej nam do Europy Wschodniej, niż Zachodniej. To był jednak dopiero początek.

Pan prokurator od razu mi się nie spodobał (mam oczywiście na myśli sposób jego bycia i zachowanie, a tak gwoili ścisłości, jestem hetero). Usiadłem w miarę wygodnie naprzeciw niego. Dwóch eskortujących mnie gliniarzy zniknęło za drzwiami małego pokoiku obok. Nijak nie słyszeli naszej rozmowy, lecz wystarczyło tylko, by prokurator wcisnął magiczny czerwony przycisk, umieszczony pod blatem swego biurka, lub głośniej krzyknął, a obaj natychmiast zjawiliby się w naszym pomieszczeniu.

Prokurator przedstawił się, następnie zaczął opowiadać jakieś dziwne rzeczy, chcąc chyba przekonać mnie w ten sposób do swojej osoby. Całą jego przemowę wstępną mógłbym streścić w następujący sposób: „Bla, bla, bla”. Finał tego był taki, że moje zniechęcenie względem jego osoby przybrało jeszcze na intensywności.

W końcu po moim którymś z kolei ziewnięciu i po minie, z której można było wyczytać: „Ludzie mam do czynienia z wariatem, albo debilem”, przystąpił do konkretów.

– Jakie stosunki łączą pana z Gwidonem Malickim?

– Już mówiłem, to mój kolega.

– Tylko kolega?

– Tak!

– No, nie wiem, czy jakakolwiek przyjaźń jest warta spędzenia kilku lat w więzieniu.

Ten gość z minuty na minutę coraz bardziej mnie wkurwiał.

– Widocznie nie wie pan, co to jest przyjaźń, a poza tym, co mam powiedzieć, jeśli taka jest prawda.

– No właśnie... Co ma pan powiedzieć? Może zaczniemy od tego, co robią w pana komputerze nagrane na twardym dysku materiały na temat fałszowania pieniędzy, jak i sprawdzanie źródeł mogących pomóc w nielegalnym zakupie broni? No, słucham – powiedział prokurator z miną, jakby przed chwilą odkrył sąsiadującą z nami obcą cywilizację. Mnie natomiast odebrało mowę. W ciągu kilku sekund zrozumiałem, że teraz to dopiero mam do czynienia z wariatem, a cała ta akcja wymierzona w moją osobę to jakieś polowanie na czarownice. Zdenerwowany nie wytrzymałem:

– Gościu, co ty pierdolisz!/? Jakie pieniądze, jaka broń!/? Ja jestem pisarzem i to, co znajduje się w moim komputerze, to materiały niezbędne mi do napisania książki. To dlatego żeście mnie wywlekli z łóżka jak bossa kartelu narkotykowego, a potem przetrzymywali w piwnicznej klatce, żeby teraz wmawiać mi, że chciałem popełnić przestępstwa, które tak naprawdę są waszymi wyimaginowanymi fanaberiami?

Prokuratorowi nieco zrzędła mina, starał się jednak zupełnie nie dać tego po sobie poznać.

– Wyimaginowanymi! Wyimaginowanymi! – zaczął wykrzykiwać, po czym wstał od biurka, podszedł do dużego wypełnionego po brzegi jakimiś papierami regału, wyjął stamtąd ciekawą teczkę, a następnie rzucił ją na blat biurka.

– Taki jesteś mądry, to jak wytłumaczysz to?! – wykrzyczał triumfalnie.

Zaciekawiony tym, co znajduje się w środku, otworzyłem ją. W środku znajdowało się mnóstwo zdjęć z moich trzech ostatnich spotkań z Gwidonem. Na kilku z nich zarejestrowane było nasze spotkanie w jednej z galerii handlowych w centrum miasta, na kilku innych spacerujemy po znajdującym się nieopodal mojego miejsca zamieszkania parku, na pozostałych siedzimy na przemian w jego audii moim jedenastoletnim peugeocie. Mimo beznadziejności sytuacji, w jakiej się znalazłem, nie wytrzymałem i najzwyczajniej w świecie zacząłem się śmiać.

Ten pseudo-Sherlock Holmes pałał dumą co najmniej tak, jakby na każdym z tych zdjęć można było rozpoznać mnie stojącego na tle tony kokainy.

Popatrzyłem na cały czas bacznie obserwującego mnie, jakby nie patrzeć, urzędnika państwowego, sprawującego bardzo ważny urząd. Opamiętawszy się, ukryłem twarz w dłoniach, po chwili powiedziałem:

– Przepraszam, ale czy mogę panu zadać jedno jedyne pytanie?

– Proszę – usłyszałem odpowiedź.

– Czy pan jest normalny?

Moje słowa trafiły w niego niczym piorun. Najpierw posiniał, potem poczerwieniał, a na koniec znów zaczął wykrzykiwać coś na temat wielu lat spędzonych w pudle.

– Jak cię zgwałcą, to jeszcze sam będziesz błagał, abym wysłuchał, co mi masz do powiedzenia.

– Tak ? – odparłem równie wściekły. – A ty skąd o tym wiesz? Chyba z autopsji.

Tym, ku swojej ogromnej ucieście, rozwścieczyłem, pana prokuratora.

– Wnioskuje o sankcje, zobaczy pan, jeszcze zmieni pan zdanie – powiedział, nieco się uspokoiwszy.

– Ale na jaki temat mam zmienić zdanie?! Przecież to zdjęcia z koleżeńskich spotkań, nie poza tym, a to, co znajduje się na twardym dysku mojego komputera, to materiały do mojej książki. To wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem.

– Jasne – usłyszałem. – Wyjaśnimy to, a tymczasem do następnego spotkania – powiedział z wielkim uśmiechem malującym mu się na twarzy. Za to mnie absolutnie nie było do śmiechu.

Do pokoju weszli dwaj policjanci, wezwani przez przesłuchującego. Z powrotem przyozdobili moje ręce w mega niewygodne kajdanki, po czym wyszliśmy z pokoju pana prokuratora Mariana Wyszyfa. Bardzo dobrze zapamiętałem to nazwisko. W drodze do sądu biłem się z myślami. Jak to możliwe, aby człowiek na takim stanowisku tak się zachowywał, przecież to wszystko, co tak mi prezentował z wielką dumą, było w rzeczywistości materiałem, jaki można by było zebrać na każdego żyjącego na tej planecie człowieka. To jakaś farsa. Autentycznie czułem się, jakbym uczestniczył w „Procesie” Kafki. Mimo to nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałem o tym, że naprawdę trafię do więzienia. Co jak co, ale sąd nie da się złapać na tą wyimaginowaną kpinę. Co to to nie. Pan Marianek będzie miał nietęgą minę, jak jego dowody pękną niczym bańka mydlana. Zobaczymy, kto się wtedy będzie śmiał.

Siedząc na korytarzu sądu, zauważyłem bardzo niepokojący mechanizm: tylko w jednym przypadku zaniechano zastosowania sankcji wobec oskarżonego. Był nim około pięćdziesięcioletni, dobrze ubrany mężczyzna. Oczywiście reprezentował go adwokat, jak się później dowiedziałem, jeden z najdroższych, ale i najskuteczniejszych w mieście. Gość był posądzony o sprzeniewierzenie dotacji unijnych w wysokości pół miliona euro. Lecz mimo to zastosowano wobec jego osoby poręczenie majątkowe. Poza nim, kogośkolwiek wszedł na salę rozpraw, po dziesięciu minutach wychodził stamtąd skierowany na trzymiesięczną sankcję.

No dobrze, tylko jak to się mogło mieć do mnie? Przecież ja niczego nie sprzeniewierzyłem, nie han-

dlowałem narkotykami ani niczym nielegalnym. Pisałem tylko książkę, w której jeden z bohaterów zajmuje się podrabianiem matryc do produkcji banknotów, przecież musiałem coś na ten temat wiedzieć, a Gwidon to tylko mój kumpel. Skąd ja mam wiedzieć, czym on się zajmuje?

Tym większe było moje zdziwienie, gdy na korytarz wprowadzono właśnie skutego, tak samo zresztą jak ja, Gwidona. Zauważył mnie. Porozumiewawczo, a zarazem dyskretnie kiwnęliśmy w swoje strony głowami. Nie dało się nie zauważyć zdziwienia na twarzy mojego przyjaciela, najwyraźniej wywołanego moją obecnością w tym miejscu.

Gwidon, jako że reprezentował go adwokat, wszedł na salę rozpraw pierwszy. Gdy wyszedł, dostrzegłem uśmiech na jego twarzy, a jeden z eskortujących go policjantów zdjął mu z rąk kajdanki. Gwidon, rozciągając zdrętwiałe nadgarstki, podał rękę adwokatowi, a następnie wyszedł razem z nim głównym wyjściem. „Kurwa, ja pierdolę, puścili go, a skoro jego puścili, mimo iż jest głównym podejrzanym, to ja tym bardziej wyjdę” – cieszyłem się.

W końcu nadeszła moja kolej. Pewnym, spokojnym krokiem wszedłem na salę sądową. Usadowili mnie na ławie oskarżonych po prawej stronie. Naprzeciw mnie siedział prokurator, natomiast po mojej prawej stronie, a na przeciwko wejścia na salę, siedział sędzia. Był nim sześćdziesięcioletni, zmęczony monotonią życia, mężczyzna.

Prokurator wstał, wygłaszając stek bzdur i niesamowitych historii pod moim adresem. Brakowało tylko, żeby powiedział, że jestem ojcem chrzestnym polskiej mafii. Udzielono mi głosu tylko po to, by po niespełna czterdziestu sekundach pozbawić mnie go. Kurwa, dlaczego nikt nie chce mnie wysłuchać? Niespełna trzy minuty wcześniej ten bajkopisarz Marian Wyszef, gadał tak niedorzeczne rzeczy, że aż mdliło, a mimo to sąd go nie uciszał, natomiast gdy ja chcę wyjaśnić, że to jest jedno wielkie nieporozumienie, to ucisza się mnie, najzwyczajniej w świecie pozbawiając głosu, a tym samym prawa do obrony.

Kiedy wysoki sąd wygłosił wszem i wobec swoją decyzję, że zastosował wobec mnie trzymiesięczną sankcję jako środek zapobiegawczy przed ewentualną próbą mataczenia, poczułem, że cała krew odpływa mi do stóp.

Musiałem wyglądać naprawdę komicznie, bo siedzący naprzeciwko prokurator z trudem powstrzymywał uśmiech. Nie wiedziałem, gdzie mam patrzeć. Czy na sędziego, czy na triumfującego prokuratora, czy na orła w koronie wiszącego nad wejściem do sali rozpraw.

Przed chwilą zgodnie z literą prawa pozbawiono mnie wolności, i to na podstawie zlepków domysłów ułożonych w nierealną historię. Ale jakim cudem puścili Gwidona? On był, jakby nie patrzeć, głównym podejrzanym.

Umknął mi tylko jeden fakt, że mój przyjaciel miał drugiego co do skuteczności adwokata w mieście. Mnie natomiast nikt nie reprezentował.

Nie pamiętam, jak minęła mi droga do półciężarówki przystosowanej do przewozu więźniów. Myślałem wtedy o tysiącu spraw: kto się zajmie moim mieszkaniem? Co z moją pracą? Czy i kiedy rodzina się o tym dowie? Kto zrobi wszystkie opłaty? Kiedy, no i jak, zareaguje na moje zatrzymanie Andżelika? Czy uwierzy, że przez tyle miesięcy spotykała się z fałszerzem i handlarzem bronią?

Dopiero siedząc w półciężarówce obok dziewięciu, tak jak ja, pozbawionych w dniu dzisiejszym wolności ludzi, zrozumiałem, na czym polega sprawiedliwość.

Temida wcale nie ma zasłoniętych oczu, ona doskonale widzi, kto i co wkłada jej do kieszeni, mając przy

tym jak najbardziej wpływ na to, w którą stronę przechyli się szala trzymanej wagi. W życiu nie użyłem tylu wulgaryzmów jednego dnia. Ale inaczej się nie dało. „Ja pierdolę, normalnie nie wierzę w to, że jadę do więzienia. Od teraz będę przebywał w miejscu, które znałem tylko z filmów” - jeszcze w tej chwili nie wiedziałem, co to oznacza. Tak samo jak nie dotarło do mnie to, że ostatecznie zamknęły się za mną wrota wolności.

CDN.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 04.12.2015 11:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.